



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gabrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

NOWY ROK.

Gdy szala, waząca dzień z nocą, przechyla się w stronę światła, gdy człowiek, gnębiony coraz-to dłuższem panowaniem ciemności nad ziemią, doczeka się tej chwili, w której jasność promieni słonecznych zwyciężać zaczyna, ogarnia go radość wesoła i tworzy sobie ztąd symbol dla nadziei swojej, której święto obchodzi w pierwszy dzień Nowego Roku. Ludzie winszują sobie wzajem, że dożyli tego czasu i na tle serdecznych pragnień malują ideałów swoich obrazy, w tworzonych życzeniach zawarte, a to już jest ludzkości szczęściem, że zdolność tę posiada, że może mieć, może tworzyć nadzieję!

Nadzieja jest cnotą, bo jest wiarą w łaskę Bożą i razem we własną siłę naszą, w rzeczywistość tego dobra i piękna, którego przecucie w sobie nosimy. Pessimizm jest tego wszystkiego zaprzeczeniem i uznawaniem ślepego fatalizmu w przyrodzie, która tworzy, aby niszczyć a niszczy, aby tworzyć. Ale każdy człowiek, który sam dąży stale w stronę prawdy i dobra, który tego dobra coś dokonywa: niesie przed sobą jakąś iskierekę jasną



WACŁAW SZYMANOWSKI † d. 21 Grudnia 1886 r.

i przez jej promieniowanie szerzy coś ciepła—wierzy, że światło i ciepło może panować na ziemi. Ma i może mieć nadzieję, bo przykłada rękę do tego, co jest nadziei ziszczeniem—co jest nadziei prawdą!

Dla jednych najświętsze, najwyższe ludzkości nadzieje mają oblicza nieujętych nigdy fantazyi, gdy drudzy widzą je tuż przed sobą. Postęp w pracy, łożonej na nadziei naszych spełnienie, jest zawsze postępem we wzmoczonej nadziei naszych sił, i tak jednostki, jak społeczeństwa całe mogą w sobie nadzieje wysokich ideałów zatracić, jeżeli na nie pracować nie chcą. Przez stepienie zdolności uczucia, przez złamanie skrzydeł miłości naszej i wiary, zabijamy nadzieję i zdobyć się już potem na nią nie możemy wtedy, nawet, gdy posepność życia z wyższych, szlachetniejszych celów opróżnionego, dręczy i uczuciem pustki przygnębia.

Ale bywają i serca w nadziei swej niecierpliwe, serca zagrzanego płomykiem nietrwałego zapалу, który chce, aby nadzieja wypłaciła mu się zaraz wkrótce spełnioną obietnicą, i gdy jest inaczej nazwie ją złudną i zdradliwą, oskarży o zmarnowanie dla niej życia bez pożytku dla siebie i drugich. Nie prawda to przecież, bo najpierw w każdej szlachetnej nadziei znajduje się

już ten błogosławiony jej owoc, że życie wiedzie szlakiem górnym, że mu zejść nie daje na poziom niski, że broni od nędznego sojuszu z prostym, zwierzęcym egoizmem, podnosi nad proste, zwierzęce istnienie, czy pełni wyższe dostojnego człowieczeństwa obowiązki—urabia serce na szlachetnych tylko rozkoszy naczynie. I byłoby tego niemal dość, abyśmy nadzieję, z celem wzniosłym, nazywali aniołem stróżem skarbów życia naszego, jest przecież w każdej prawdziwej nadziei ta moc cudowna, że nigdy ona próżno dla swego celu nie ginie. I o niej to mówi poeta (Asnyk) w rozmowie, które Bóstwo wiedzie ze smutnym i pełnym żalu człowiekiem, gdy, siwy już i grobu blizki, przychodzi skarżyć się, że nadzieje jego nie otrzymały spełnienia, jego tęsknota ideału nie zdziałała nic na świecie. Więc zdaje mu się u brzegów mogiły, że nietylko przeznaczonemu człowiekowi szczęścia nie wziął, ale, tyle poświęciwszy, nic nie uczynił; na co przecież odpowiada mu głos z góry:

„Dobra, prawdy i piękna wieczne pożądanie
To wasz skarb, który szczęście najwyższe stanowi,
I przepaściste drogi pochodu wyzląca, —
Z nim możecie iść śmiało na przekór losowi,
Pewni, że nie zmarnieje nigdy wasza praca:
Jeśli więc, samolubstwem lub dumą popchnięty,
Chciałeś za życia ujrzeć dokończony dzieło,
To musiałeś zawodu gorzkie wypić męty,
I zropaczyć, że z tobą wszystko zaginęło!
Lecz jeśli po doznanym upadku i wstydzie,
O przyszłe losy świata dręczy cię obawa,
Jeżeli ci o prawdę natchnień twoich idzie,
A niezmiennosc nędz ludzkich bólem cię napawa,
To pociesz się, śmiertelny! Cel, co wam jaśnieje
W mgłach przyszłości, ten nie jest złudzeniem
[zwodniczem ..
Nie napróżno niebiosy dały wam nadzieję,
I szlachetne pragnienia niezgaszone niczem
W ciągu wieków wśród, ciągłych walk i przeobra-
[zeń,
Coraz więcej świat boskich przyswaja promieni,
I to, co należało do dziedziny marzeń,
W niezłomną rzeczywistość później się zamieni.”

Nadzieja serc ludzkich tworzy życia ludzkości historią; z miłości ideału swego urodzona, nigdy ona niezawodzi, wtedy nawet, gdy nie zdaje się celu swego osiągać. Osiągnęła go już przez to, że napełniała jedno serce człowieka i kierowała czynami jednego życia, a była może drugiemu przykładem i pomocą, była mu w chwili zesłabnięcia oparciem i ręki podaniem. Jak tysiące ziarenek psianki musi się złożyć na górę jedną, aby wysoko pod niebo urosła, tak trzeba wiary, miłości, nadziei serc tysiąca na rozkwit jednej wielkiej idei, na spełnienie się jednej wielkiej sprawy. Mędrzec każał człowiekowi iść na naukę pracy do pszczoły i mrówki, bo pszczoła i mrówka pracuje zbiorowo. Znoszą drobniutki pyłki, a jaka znaczna rzecz z nich powstaje i co słodczy jest w jednym plastrze miodu, co żywicznego balsamu w jednym mrowisku! Ile miłości, wiary, nadziei jest w pojedynczych sercach ludzkich—tyle jest drogiego materiału na dokonanie się szlachetnych dzieł postępu w ludzkości.

M. Ilnicka.

WACŁAW SZYMANOWSKI.

Kilka wspomnień na grób.

Ubył nam znowu człowiek użyteczny, zdolny i zany. Dziecię Warszawy, przez lat trzydzieści kilka w dziennikarstwie warszawskim wy-

bitne zajmował stanowisko, uczestnicząc we wszystkich jego ważniejszych kolejach, zagadnieniach i walkach—od życia nieodłącznych. Jako redaktor najpoczytniejszego pisma polskiego znany był krajowi całemu. Jako poeta ani siłą, ani oryginalnością nie zabłysnął, ale wypowiedział wiele myśli podniosłych, nieraz w piękną przyodzianych formę i rzetelnie natchnionych. Jako humorysta i satyryk miał oko otwarte na wady i ułomności ludzkie; ale umiał je otwierać i na nędzę żywota ludzkiego i na niedole społeczne, i wtedy słowem swoim szczerze wzruszał. Pociągnięty doskonałością formy dramatycznej, rwał się w objęcia najulubieńszej córki poezji, a choć wyższości nie dopiął, w utworach swoich jednak okazał zarówno spostrzegawczość rozsądku, jak szlachetność umysłu, wyznającego stałe religijny ideał. Myśl jego twórcza zwracała się z upodobaniem do przeszłości, dla odtwarzania jej, w niewielkich zapewne, ale dosadnym słowem malowanych obrazach—raz nawet w większym dramacie. Idealista szczerzy, odrzucał wszystko co człowieka przedstawiało w upodleniu zmyślenia natury; wierzył w lepszą stronę istoty ludzkiej, z niej wyprowadzał wszystko, co było dobrego w dziejach; jej ufał, że dalszy rozwój świata nie zejdzie na manowce. Głęboko religijny, widział rękę bożą tam nawet, gdzie religijność ścisła tego nie wymagała, a o potęgę ducha przeswiadczonego, uznawał ją nawet poza sferą faktów dostrzegalnych, rozumem ocenić, a przynajmniej określić się dających. Z tą też lekką mistycyzm łączył się w jego umyśle ze spirytyzmem, od którego nie mógł się do ostatnich lat życia uwolnić. Jedno i drugie przecież chował dla siebie—jako pisarz nie wychodził z karbów. Cywilizacji dzisiejszej nie uważał za ostateczną: wierzył raczej, że najpowszechniejsze dzieje ludzkości składają się z pokładów cywilizacyjnych pojedynczych epok i narodów i że na pokładzie naszej cywilizacji rozwinie się jeszcze nowa, od niej doskonalsza, a przez kataklizm jakiś, podobnie jak i dawne, od poprzedniczek swoich odrębna. Chciwie też chwycił wszystkie fakty świadczące o dawności cywilizacyjnego rozwoju, i dla ulubionej tezy swojej nadawał im znaczenie, jakiego rzeczywistości nie miały.

Wacław Szymanowski urodził się w Warszawie d. 9 Lipca 1821 roku. Dzieciństwo ubiegło mu w dostatkach, młodość w ciężkiej pracy. Wczesnie już pokochał książkę i zaczął pisać wiersze. Po ukończeniu gimnazjum poszedł na aplikację do komisji skarbu. W dwudziestym roku życia pierwsze próby pióra umieszczał w *Nadwiślaninie* Fileborna i Dziekońskiego i w *Przeglądzie Warszawskim* Budziłowicza i Skimborowicza. Były to krótkie powiastki w rodzaju najmiłszym ówczesnej belletrystyce warszawskiej; bohaterowie nie wysilali się tam na głębokie uczucia a przygody ich były najzwyklejsze potoczne. Nie potrzeba mówić, że gdyby Warszawa posiadała była wówczas jakąkolwiek instytucją wyższą nad gimnazjum, a kształcąca w kierunku literackim, początki piśmiennicze i późniejszy rozwój Szymanowski zyskałby to, co dać może wiedza i umiejętne pokierowanie inteligencji. Nie on jeden tylko potrzebował w owej epoce przewodnictwa systematycznej nauki i systematycznego poznawania pomników literackich zarówno swojego, jak i obcych narodów. Brak trzeba było własną pracą zastępować. Opowiadał mi nieraz, z jakim trudem zdobywać musiał nie jedną książkę, którą chciał poznać, jak w twardej warunkach życia, przy rwącej się do świata młodości, ciężko mu było utrzymać się w obranej kolei i nie zniechęcić się do pracy nad samym sobą przy ponętach zagnieżdżającej się już wówczas cyganerii. Szymanowski przecież trudno było przewyciężyć i pokusom się oparł; poznał literaturę ojczystą, a nabył znajomości francuskiej, z niemałą tylko dla siebie szkoda, zostawiając na uboczu literaturę niemiecką.

Dziennikarzem został pierw, niż poetą. Dziennikarski zawód rozpoczął wraz ze wstąpieniem do redakcji nowozałożonej przez Rzewuskiego w r. 1851 gazety *Dziennik warszawski*. Autor *Litstopada* poznał go był jeszcze na parę lat przedtem, zwrócił na niego uwagę i wziął go pod lite-

racki swój patronat. Ramy tego stosunku rozszerzyły się nawet po krótkim czasie, ale wobec Teofrastra Polskiego i Bejły Szymanowski umiał, bo chciał silnie, pozostać sobą. Wstąpienie do *Dziennika warszawskiego* uważał sam za istotny już początek literackiego zawodu; dawniejsze swe prace uznawał tylko za próby, których nawet sam tak dalece nie pamiętał, że mu je w przyjacielskich rozmowach przypominać było potrzeba. W *Dzienniku*, mając za kolegę takiego człowieka, jak Bartoszewicz, zyskał wiele dla poznania dziejów ojczystych. Sam poszedł w kierunku felietonowym; wyrobił sobie styl lekki, a bez pretensji do motylkowania; zaprawiał często artykuły swoje humorem i żółcią, ale nie dogryzał nikomu poza sferą przyzwoitego dziennikarstwa właściwą. Z tej epoki pochodzą jego *Literaci minores* i *Lichwiarze warszawscy*. W *Literatach* znajdują się rysy dziś jeszcze trafne. Za *Lichwiarzami*, branych z życia, ściągnął na siebie wiele przykrości. Płazy te nie dawały mu spokoju. Miał przecież sprawę wygraną nieodwołalnie i obie charakterystyki zapewniły mu rozgłos.

Praca w *Dzienniku*, jak wszystkie i dzisiaj, z dnia na dzień podejmowane, wsiąkała bez śladu w tę dwudziestoczworgodziną efemerydę, jaką jest każda gazeta. Pracą taką jednak nie zadawalał się s. p. Szymanowski. Dawniej urozmaicał sobie nudy biurowe wierszami okolicznościowymi, przedrzeźniając w nich łysych referentów z jałowem ich referatami; teraz rzucał na papier poważne już poetyckie pomysły, kształcąc sobie formę, w której też od razu osiągnął pewną skończoność. Wyrobił sobie wiersz potoczny—może zanadto prawidłowy, spokojny, ale przy rytmie i harmonijności mający zawsze tytuł do wdzięcznej poprawności, i tej mu nigdy żadna, nawet najnieprzychylniejsza, krytyka odmówić nie śmiała. Pierwszym utworem poetyckim Szymanowskiego, utworem od razu większych rozmiarów, był (wyd. 1856) *Salomon*, dramat ideowy, rzucony na tło XVI w. *Salomon* śmielszego umysłu i serca kobiecego walczy tu daremnie z tradycją religijną wyłączności i fanatyzmu. Ze wszystkiego, co Szymanowski napisał, jest to może utwór najgłębiej natchniony. Córka Salomona, Sara, nawróciła się potajemnie na chrześcijaństwo i nawrócenie się swoje tak odczuwa:

Oddawna światła szukając daremno,
Czułam pustynię w koło siebie ciemną;
Oddawna swoją skrytością jałową
Mędrców mi waszych nie starczyło słowo.
Na odgłos boży, co głązy porusza,
Nieraz się miotał we mnie duch stroskany;
Pragnęło serce i tęskniła dusza
Jakąs tęsknotą miłości nieznaną—
Miłości, której nieśmiertelne błyski
U was zabobon i bojaźń przygasza,
Co winna dziecku świecić od kołyski,
A której wiara nie pojmuje wasza.
Jej-to me serce stęsknione wołało;
Pragnęłam posiąść to natchnienie boże,
Co w sobie ludzkość ocejmuje całą
I kocha Stwórcę w każdym jego tworze ...
I Bóg, co widział to pragnienie we mnie,
Bóg miłosierny sercu, co go woła,
Zesłał mi z niebios swojego anioła,
Który rozjaśnił serca mego ciemnie,
Który do jego przybliżył mnie łona:
Jam pokochała w nim Boga!

W *Sędziwoju* przebija się, w wyższym może stopniu niż w innych utworach Szymanowskiego, dążność do rzeczywiście przedmiotowej dramatyczności; wzmacniało ją jeszcze poczucie historyczności, w kilku scenach występujące wybitnie. Również wyzwolony już z pod subiektywizmu dramatem jest najpóźniejszy utwór zmarłego *Posąg* (1851), owiany duchem szlachetnym, niepozabawiony pewnego uroku, ale zbyt mało zasobny w żywioły psychologii dramatycznej.

Podniosły nastrój panuje również i w *Ostatnich chwilach Kopernika*. (1855) Męczeństwo i wiara wyższego umysłu tak się tu wypromieniają z głównej postaci:

Mysł, odblask bóstwa—marna ludziora praca—
Stwórca ją natchnął: niech do Stwórcy wraca.
Gdy ona, córka natchnienia i żalu,
W skrytości ducha dzieło swe rozpocznie,
Jeśli nie widna w głazie lub metalu,
Nie rzeczywistni się ludziom naocznie,
Gdy się nie stanie tworem, kształtem, rzeczą:
To świat ją zelży a ludzie jej przeczą.
Sądzisz, iż nie wiem, że my, z prawdy swemi,
Długo się tutaj jeszcze nie rozkrzewiem?
Że nas duch ziemski przykuwa ku ziemi
I milczeć każe?—czy sądzisz, że nie wiem?
Lecz niechaj całą zasłepieńców zgrają
Rzucą mi wyrok odszczepieństwa srogi:
Oni gwiazd bożych w biegu nie wstrzymają
I ziemi nowej nie naznaczą drogi,
Bo Bóg ją wskazał... Przyjdzie chwila może
Iż wyjrzy prawda. Zbliży te czasy, Boże!

A demon geniuszu tak przemawia:

... kiedy tej ostatniej nocy
Z bijącym sercem, z nachylonem ciałem,
W ducha się mego korzyłem niemocy,
I gwiazd przestrzeni o prawdę badałem,
Kiedy przed Stwórcy nieskończoną siłą,
Mysł się ma dumna chyliła w pokorze,
To do mnie głosów bezbrzeże mówiło:
„Prochul tyś odgadł Stwórcę w jego tworze!”
A wszystkie światy, iskrzące wokoło,
Zdały się chwałą opromieniać czoło,
Wznosząc do siebie słabe me jestestwo...

I zakończy świetnem:

„Z prochu wyszedłeś i wracasz w nicestwo.”

W r. 1860 otrzymał Szymanowski pierwszą nagrodę na konkursie dramatycznym w Warszawie za komedię *Dzieje serca*. Geld i Julia są tu charakterami trwalszej wartości. Utwór ten doznał powodzenia na scenie. Wtedy już Szymanowski z *Dziennika*, zamienionego w *Kronikę*, przeszedł był do *Tygodnika ilustrowanego*, gdzie stale przez długie lata prowadził felieton, w którym umiał łączyć dowcip z powagą. Objął później ster *Wędrowca*, a od założenia *Bluszczu* przez lat sześć pisywał w nim przegląd życia bieżącego. *Wędrowca* podniósł pod względem literackim, sam piórem swoim wiele się do tego przyczyniając. W r. 1868 otworzyło mu się nowe pole działalności. Właściciele upadającego *Kuryera warszawskiego* zaczęli się krzątać, poszukując jakiejś wybitniejszej siły dziennikarskiej, któraby im kłopot z głowy zdjęła. Zwrócono się do Szymanowskiego. Ten zrazu zaproponował wspólne prowadzenie pisma p. Michałowi Glücksbergowi, następnie firmie Gebethnera i Wolffa. Ci ostatni propozycją przyjęli; przybrano jeszcze Alexandra Michaux (Mirona) jako obiecującą wówczas siłę literacką i pewną materyalną *pièce de resistance* i rozpoczęto działalność, którą po dziesięciu latach uwieńczyła niebywała w dziejach czasopiśmiennictwa polskiego pomyślność. Już po r. 1880 było półrocze, w którym *Kuryer* liczył do 20,000 płatnych prenumeratorów.

Podniesienie *Kuryera*, wzbogacenie jego treści przez literaturę piękną i krytykę, a nadanie mu wszechstronności i pewnego wirtuozostwa w dziele ściśle gazetowym, poświęconym na sprawy bieżące, ożywienie go i wydzwignięcie na poziom pisma europejskiego pod względem rychłych, a wszystkie dziedziny życia ogarniających wiadomości, uczynienie go dziennikiem poczytnym, nie tylko w mieście, ale i na prowincyi, bez uciekania się do skandalu i sensacyjności—wszystko to

było zasługą Szymanowskiego. Okazał się on, i dziennikarzem umiejętnym, znającym publiczność, i człowiekiem pełnym wyrozumiałości, dobroci i życzliwości dla współpracowników swoich, i obywatelom dbałym zawsze o dobro publiczne, i umysłem przywiązany do prawdy, których panowanie za niezbędne dla moralnego porządku życia uważał. Błąd to zupełnie, jakoby *Kuryer* pod jego redakcją był wyłącznie tylko pismem brukowem; od r. 1868 do 1876, w najlepszej epoce swojej, zasługiwał *Kuryer* na miano organu i był rzeczywiście organem ruchliwego, postępowego idealizmu, wcielonego w zastęp mniej lub więcej zdolnej, ale zarówno do życia, do działania i znaczenia myśla swoją rwącej się młodzieży. Nie będę przypominał nazwisk tych ludzi, którzy w *Kuryerze* pod sterem Szymanowskiego stawiali pierwsze kroki. Dla wszystkich był on więcej kolegą i przyjacielem, niż zwierzchnikiem i sędzią. Poczynającym udzielał rad; żadnej nigdy zawisci nie uczuł; przeciwnie, przyjemności rzetelnej doznawał, ilekroć mógł kogo pochwalić i na rozrastanie się jego umysłowe patrzeć. Niepodobna też zamilczeć i o moralnej gorliwości i odwadze, z jaką Szymanowski prowadził walkę z obozem kosmopolitów występujących „na wyłomie”, „w obronie światła”—„przeciwko zaplesniałemu wsteczniactwu”. W prawdziwych dziejach ostatnich lat szesnastu rola i zasługa *Kuryera*, a w nim i Szymanowskiego, pominiętemi nie będą.

Prócz bardzo wielu artykułów dziennikarskich, prócz wytrawnych krytyk teatralnych i urywków polemicznych i okolicznościowych, dążność publicystyczną mających, zamieszczał Szymanowski w *Kuryerze* drobne liryki, obrazy, gawędy wierszem, przemowy i prologi zebrane dziś w I t. 5 tomowego wydania jego *Poezyi i dramatów* (1884).

Zmarł d. 21 Grudnia 1886 r., po długich, doleśliwych cierpieniach niedoczekawszy się końca tego „Wieku żelaznego” w którym:

... Serca się kryją żelazną zbroją
I twarze skrywa żelazna maska.
Kiedyż obroża się ta rozluźni?
Kiedyż martwota się ta rozbudzi?
Kiedyż przestaniem kuć dusze w kuźni
I żądzą walki pancerzy ludzi?
Nad metalową skurczony glebą
Człek — leje działa lub ryje minę.
Dajcie nam światła, choć przez szczelinę!
Niech świat stęskniony zobaczy niebo.

Świat długo jeszcze tęsknić będzie.

Wspomnieniem tem, jako dawny współpracownik *Kuryera*, zwierzchnikowi swemu i szczeremu do końca życia przyjacielowi, rzucam grudkę ziemi na mogiłę.

Stanisław Krzemiński.

GASNAĆCA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dokończenie).

Szalej zaśmiał się gorzko i szorstko burknął przez zęby:

— Głupi jesteś, Filipku... Ty myślisz, że to tak łatwo iść z życiem na udry i na przebój przez świat?... mnie się także tak kiedyś zdawało. Ostatni raz chciałem się okoniem postawić potwarcom i wziąć po papie, wiesz za kogo?... za kobietę, którą kilku chłystków szarpało; a wiesz za

która?... za twoją żonę. Nie mówiłem ci o tem, bo nie było się z czego chwalić. Gdybym był cicho siedział i pozwolił światu bryzgać śliną, byłbym nie miał spuchniętej gęby i mógł dalej czytać w Dołku gazety. Warto było powstawać w obronie pani... Pielskiej!... Czy to można wiedzieć, kto ma słusność w tych czasach: ci, co biorą w papę, czy ci co dają?... Trzeba szanować głupstwo, podłość i siłę, trzymać z kliką, nie podnosić łba do góry i lazić na czworakach: wtedy cię nikt nie obali i guza nie nabije. Niech sobie świat leci na złamanie karku: nie stawaj mu w drodze przyjacielu, bo cię strątuje; usuń się w bok: a wyjdiesz cało i będziesz mógł za nim plunąć z pogardą. Oto moje *Credo* dzisiejsze.

— Nie mówisz prawdy — zachnął się Filip — znam cię lepiej, niż ty sam. Gorycz z ciebie przemawia, boś tak samo winny, jak ja.

— Bądź zdrow! — krótko i opryskliwie przemawiał mu poeta, i trzasnąwszy ciężkimi drzwiami, wyszedł.

Rozmowa z Szalejem po raz pierwszy od bardzo dawnego czasu wstrząsnęła Filipem, jak prąd elektryczny i smartwiała duszę ożywiła na chwilę. Zbudziła się w nim jakaś rozpaczliwa energia tonącego rozbitka, który widzi przed sobą nieuchronną katastrofę, jeśli ostatka sił nie wyteży.

— Tworzyć, tworzyć! — wołał sam do siebie — zmusić świat do uznania, do podziwu, wskrzesić się przez sztukę. Ja nie chcę się dać żywcem po-grzebać!..

Z gorączkowym jakimś pośpiechem zakasał rękawy, przystąpił do stolika i drżącymi rękoma wziął się do modelowania. W jednej chwili przyszedł mu pomysł, na który od tak dawna znieczulona wyobraźnia artysty zdobyć się już nie mogła.

Przez cały dzień nie odrywał się od pracy; policzki, zwykle blade, zapłonęły mu gorącym chorobliwym rumieńcem. Śpieszył się, jakby go jakaś tajemnicza siła nagliła do uchwycenia w plastyczne kształty lotnej i płochliwej myśli.

Pod wieczór stał w pracowni Filipa gotowy szkic, o wyraźnych konturach, narzuconych wprawą ręką artysty. Na głazie siedział Mefisto, pół błażna a pół dyabła; nogę miał założoną na kolano z jakąś junacką butą i fantazyą; jedną ręką trzymał się za bok i przechylony nieco w tył śmiał się do rozpuku z demoniczną, piekielną ironią w twarzy, patrząc na dłoń swoją, na której stała figurka... człowieka.

— To będzie mój „Geniusz wieku” — wykrzyknął Filip, odkładając dłuto i przyglądając się szkicowi zaiskrzonymi oczyma; ale w tejsamej chwili uczuł, jak mu mgła jakaś wzrok zasłania, nogi odmawiają posłuszeństwa i wyprężone nerwy wysiłkiem woli tracą swą sztuczną energią.

— Pietrek, wody! — zawołał głosem złamanym i omdlały usunął się na krzesło.

Przestraszony chłopak pcoskoczył mistrzowi swemu na ratunek; bryznął mu wodą w twarz i cucić go zaczął, jak umiał, błagalnym głosem, przemawiając do niego naiwnie:

— Co też pan robi, co robi!... Jezus, Marya — niech pan nie umiera... oto jest woda... no, niech pan pije... Przecież pan sam chciał wody... po co pan oczy zamyka i zęby tak zaciska? ojoj!... co ja tu pocznę z panem!..

Długą chwilę Filip pozostawał bez przytomności; blada twarz nie dawała znaku życia; z głową w tył przechyloną siedział bezwładnie na krześle, z którego własnym ciężarem cały korpus powoli zsuwał się na bok i groził upadnięciem na kamienną posadzkę pracowni.

Ile sił starczyło Pietrkowi, podtrzymawał omdlałego i zawodził:

— Boże, Boże! co tu robić... ani sprowadzić kogo, ani zawołać... Spadnie jeszcze i głowę rozwali.

Ostatnia rozpacz czepiała się biedaka; poprawił bezprzytomnego Filipa, przystawił szybko drugie krzesło i instynktownie wybiegł na kurytarz, nie zdając sobie sprawy gdzie, u kogo szukać ma pomocy.

Dawniej byłby wiedział, kogo najpierw uwia-

domić, dałby znać do domu, sprowadził Helenę zaalarmował sługi — dzisiaj u nikogo, oprócz u obcych nie mógł szukać ratunku.

Stał u furty wychodzącej na ulicę i zatrzymał się nagle; ulica była pustą, wzdłuż klasztornego muru szybkim krokiem szedł człowiek z długą żerdzią, u której końca polyskiwało w zmroku zapadającym światło.

— Ratujcie — zawołał chłopak — pomóżcie mi, pan mój zasłabł... umiera.. trzeba coś pomódz!

Latarnik na chwilę przystanął i zapalając gaz przy samej furcie, spojrzął na chłopca roztargnionym wzrokiem, potem śpiesząc się dalej, podniesionym głosem mówił, jakby do siebie:

— A cóż ja mu pomogę!.. trzeba doktora, albo księdza. Mnie pilno; drugi raz już dzwonił na wieży.

I o kamienny bruk odbiły się kroki jego, coraz dalszym odgłosem.

Pietrek został znowu sam na ulicy, zwykle odludnej, a o wieczornej porze jeszcze bardziej opustoszałej w tej dzielnicy miasta.

Naraz otucha jakaś wstąpiła w jego serce; zdala usłyszał turkot zbliżający się w tę stronę. Ktoś widocznie jechał ku klasztorowi.

Po chwili jednokonna karetka zatrzymała się przed samą furką; z wnętrza jej, odezwał się głos mężczyzny:

— Mój chłopcze, gdzie tu jest pracownia rzeźbiarza Morellego?

Pietrek poskoczył ku drzwiczkom, jakby anioła pomocy zesłało mu samo niebo w tej godzinie.

— Ach panie — tutaj, tutaj! — zawołał — tylko prędko.

— Cóż ci tak pilno?

— Panu memu coś się stało — zaczął szybko i natarczywie opowiadać chłopak nieznanemu — zwał się nagle z nóg, oczy zamknął, zęby zaciął, a pobladł, jak ściana... leży tam, jak trup... w pracowni. Ja właśnie wybiegłem, żeby kogo sprowadzić.

— Kto?... Morelli?

— Tak, to mój pan... niech pan dobrodziej pozwoli.

— A tom trafił, jak zawołany — szepnął do siebie przybyły i zniknął za chłopcem w ciemnym korytarzu, wiodącym do pracowni Filipa.

— Światła, przedzie! — zawołał u progu i zaczął pocierać o ścianę woskową zapałkę.

Pietrek już ze świecą pośpieszył.

— Gdzie chory? — spytał obcesowo stary jegoś, nie zdejmując kapelusza z głowy i zaczął rozglądać się po dawnym refektarzu, przyswiecając sobie zapałką.

Na krześle siedział Filip oprzytomniały już, ale osłabiony i niemający sił podnieść się z miejsca.

— Ach, pan żyje! — zawołał chłopak z wybuchem szalonej radości, zobaczywszy Morellego z otwartymi oczyma — a ja myślałem, że to...

Zaciął się i nie śmiał dokończyć, całą pięścią zatykając sobie usta.

— Że to śmierć — szepnął Filip z westchnieniem, potem wpatrując się w przybyłego gościa, który mu już jedną ręką kładł na głowie, a drugą puls szukał z wprawą lekarza, rzekł z przyjemnym zdziwieniem, poznając d-ra Szypowicza:

— To pan, panie konsyliarzu?

Konsyliarz mruknął coś pod nosem i za całą odpowiedź lekko uściśnął Filipa, nie przerywając sobie badania:

— Jak się pan czujesz? — spytał — głowa nie cięży?

— Owszem... trochę. Osłabłem nagle przy robocie... straciłem przytomność, ale już mi lepiej — odpowiedział cichym głosem, siląc się umyślnie na swobodę. — Nigdy mi się to nie przytrafiło... pierwszy i ostatni raz wówczas... pamiętasz doktorze? — przy moim małym, a dzisiaj drugi. Ale to nic, to głupstwo...!

— Głupstwo, rozumie się — powtórzył doktor — tylko, że głupstwa najwięcej złego narobiły w świecie. Połóż-no się pan na łóżku.

Pomógł mu powstać i przeprowadził go za parawan, osłaniający zaimprovizowaną sypialnię.

Filip dał sobie rozporządzać, jak dziecko. Sam widok zyczliwej twarzy Szypowicza, którego od

bardzo dawnego czasu nie spotykał, sprawiał mu ulgę, jakkolwiek budził zarazem smutne wspomnienia o Stefanku.

— Jadłeś pan co dzisiaj? — spytał nagle doktor, opukując pacyenta; — coś mi tu tak wygląda, jakbyś pościł od wczoraj.

Pytanie to przypomniało dopiero Filipowi, że był naczczo od rana.

— Nie czułem wcale głodu dzisiaj — odrzekł — zapracowałem się.

— To także głupstwo — burknął lekarz niechętnie — nie pracujesz, nie jedz; ale pracując, pamiętaj o jedzeniu. Chlebem nie można gardzić, chleb, to życie... Masz pan w domu wina trochę?

— Nie mam.

— Cóż z pana za artysta?... atelier bez butelki, to grzech przeciw tradycji. Kieliszek wina dobrze panu zrobi, filizanka bulionu potem i kilka godzin snu — a jutro będziemy znowu zdrowi jakotako... Radziłbym wszelako wstrzymać się jakiś czas od pracy... organizm rozstrojony, jak stara gitara.

Mówił to, chodząc po pracowni i zaglądając we wszystkie kąty z zajęciem.

— Ja tu umyślnie przyjechałem zobaczyć, co się z panem dzieje?... zniknąłeś, jak kamfora, a po mieście różne słuchy o panu chodzą. Co pan porabiasz?...

Filip milczał; wstyd mu było przyznać się, że tak długo próżnował. Szypowicz stanął przed Mefistem i zaczął mu się zbliżać przyglądając.

— Co to będzie? — spytał i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej — jakaś allegorya? aha, to satyra, zły duch wysmiewający człowieka?... niezły pomysł, ale lepszy do poematu, niż do rzeźby. Zresztą, człowiek dzisiaj z dyabła się śmieje, bo na świecie gorzej, niż w piekle... To obstalunek?

— Nie; ot tak naszkicowałem, dla siebie.

— Opowiem mojej córce, może znowu kupi... pan wiesz? ona ma już pańskiego „Biedaka“ u siebie na wsi. Waryatka, muzeum zakłada na folwarku. Wielka wielbicielka pańskich dzieł... sama coś tam babrze akwarellą, ot, dylletantyzm!... choroba społeczna. Wolalaby gęsi tuczyć; więcej pożytku.

Spojrzał na zegarek.

— Oho! po siódmej, trzeba uciekać. Wiem teraz, gdzie pana szukać, to mnie tu częściej zobaczysz u siebie. Pamiętaj: wino, bulion i spanie na dziś — jutro wartoby się wykapać, to krzepi. Ale, ale... a nie rób sobie nic z tego, że cię szarpia.

Filip wstał z łóżka, aby pożegnać swego gościa.

— Niech cię to nie drażni, irytacyi unikać... wszystko zawiść.

Artysta spojrzał ze zdziwieniem na doktora, jakby nie rozumiał o czem mówi.

— Szarpia mnie? — spytał — a za co?

— Cóż to, ludziom wiele do tego potrzeba?... za głośny byłeś z początku, za duży na naszą miarę... obgryzają ci łydki teraz. Drwij sobie z tego. Nie czytasz dzienników?

— Nie.

— Dobrze robisz; po co sobie humor psuć dobrowolnie? Ja czytam, jadąc od pacyenta do pacyenta. To jedyny czas wolny na lekturę. No, dobranoc... Wino, bulion i sen! proszę pamiętać.

I nie podając ręki, jakby się obawiał wziąć honorarium od pacyenta, któremu tylko przypadkowo się przydał, wyszedł szybko na korytarz, zanim Pietrek zdążył ze świecą go wyprzedzić.

Była to wielka niezręczność ze strony starego weredyka, wspomnieć Filipowi o napaściach; w tym stanie rozdrażnienia, w jakim pozostawał, tych kilka słów rzuconych od niechcienia, sparzyło go, jak liście pokrzywy.

— Więc mnie szarpia? — mówił do siebie i zamyslił się boleśnie.

Zapomniał o poleceniach lekarza; zapomniał, że kazano mu się posilić. Dzisiaj zresztą byłoby to i tak trudno; w kieszeni kilka miedziaków pozostało mu z całej gotówki, jaką rozporządzał w tych dniach. Na wino i bulion majątek jego nie wystarczał.

Machinalnie wyjął z kieszeni kuprowinę i podrzucając ją na dłoń, zdawał się słuchać jej dźwięku, ale widocznie myślał o czem innym.

— Szarpiał — powtarzał — szarpia... i za co?

Nurtowała go ta nowa krzywda, jaką mu wyrażano.

Dziś rano sam się głośno obwiniał przed Szalejem, a teraz ta zwyczajna drażliwość ludzka czuła się dotkniętą głuchą wieścią ze świata, który źle o nim sądził. Człowiek znieśie nieraz od siebie najcięższe potępienie, ale z cudzych ust najłżejsze słowo nagany gorzej go drażni, niż wyrzuty czynione przez własne sumienie.

— Pietrek, kup sobie mleka i bułek, — rzekł do ucznia, dając mu połowę swej gotówki; przypomniał sobie, że chłopak także od rana żył tylko samem powietrzem.

Potem rzucił się w ubraniu na posłanie i próbował usnąć, ale pomimo znużenia wielkiego, które czuł w całym ciele, oczu zmrużyć nie mógł; krew mu uderzała do głowy, w oczach migły iskierki, zimno i gorąco robiło mu się naprzemian.

W myślach, jak w kalejdoskopie, zmieniały się obrazy, cała przeszłość przyszła mu teraz na pamięć; widział się sierotą, bez rodziny, bez środków do życia, wędrującym samymi stromymi ścieżkami do wymarzonych szczytów, gdzie go wabiły zieleniejące laury...

Mówiono mu, że miał talent; czuł to sam dobrze; pracował, uczył się, dążył coraz dalej; życie i osamotnienie zrobiło go nieśmiałym, zamkniętym w sobie; do ludzi instynktownie czuł jakąś bojaźń, sztukę kochał nad wszystko i marzył, że tylko dla niej żyć i pracować potrafi...

Spotkał na swojej drodze ją, tak posagowo piękną; poznał Helenę i wszystkie zmysły poddał jej urokowi. Zdawało mu się, że miłość to jakaś magiczna siła, która pociąga nawet bezduszne bryły... zawiódł się.

Rozkosz jej pocałunku i uścisku opętała mu duszę. Dla niej zapomniał o reszcie świata, ona o nim zapomnieć nie chciała.

Życie z jednej niekonsekwencji wysnuło cały szereg innych. Zbłąkał się ze swej drogi, wszedł w sferę obcą dla siebie, pośpieszył się zanadto w pogoni za utudnem szczęściem i cofnął się już nie mógł, a okolicznościom poddawał coraz bardziej, coraz bierniej, coraz bezwładniej.

Sprzeniewierzył się swoim ideałom; jakby za karę zawiódła go sztuka; z artysty stawał się rzemieślnikiem.

Wszystkie te reflexy przychodziły mu teraz do głowy, gdy rozpatrywał dzieje minionych lat. Rozgorączkowany, zniechęcony, strawiony wewnątrz, jak drzewo termitami podgryzane, widział się bezsilnym.

Dusza, serce, fantazyja, zamiast zapłonąć płomieniem, ztliły się w nim powoli.

— To mało samemu kochać w życiu, — mówił mu jakiś głos tajemniczy — do zupełnego szczęścia potrzeba koniecznie być kochanym, a przynajmniej ludzi się, jak najdłużej, że się nim jest, lub było rzeczywiście.

Myśli zaczęły mu się mącić w jakichś półsennych widzeniach; utkwiał oczy w ciemność zalegającą całą pracownię i zdało mu się, że pod sklepieniami klasztornymi jakieś śmiechy, szmery i głosy słyszy. Przez okna widać było gwiazdziste niebo, z poza muru od ulicy wdierał się czerwony odbłask latarni gazowych.

Na tle rozjaśnionych szyb rysowały się kontury jego Mefista, stojącego pod oknem, które rosły, rosły do olbrzymich rozmiarów... Zdało mu się, że ów piekielny szyderca potworne przybiera kształty i sięga głową pod same sklepienia pracowni, i zbliża się coraz bardziej ku niemu z wyciągniętą ręką, śmiejąc się zdławionym śmiechem.

Rozgorączkowana wyobraźnia nasuwała mu z całą plastyką widzenia nieuchwytnie, a jednak tak wyraźne, że niemal czuł dotknięcie olbrzymiej ręki, która go zamiast figurki w glinianym szkicu trzymała na dłoni szerokiej, jakby rzecz martwą i bezwładną zupełnie.

Potworny Mefisto trząsał się nad nim od śmiechu tak, że Filip odczuwał każde drgnienie kolosalnego jego cielska.

Straszny był ten głuchy śmiech szatana, od którego w mózgu Filipa pękały więzadła.

Rękę machinalnie podniósł do czoła i zmora zniknęła na chwilę.

— Mam gorączkę — szepnął oprzytomniały spieczonemi ustami.

Na szczęście Mefisto rozwiął się w nicosć przed jego oczyma; próbował teraz zamknąć powieki, ale mu się same podnosiły co chwila.

I znowu ujrzał w otwartych drzwiach kurrytarza postać ciemną w habitcie, z rękoma założonemi na piersiach, w kapturze zapuszczonem na czoło. — Kroczyła z wolna, bez szelestu po kamiennej posadzce i zniknęła w ciemnej wnęce na firankę; za nią szła druga, trzecia, dziesiąta... pojedynczo i parami przeciągał przed Filipem długi bez końca korowód milczących zakonników, a za ścianą przytykającą do kościoła zdawało mu się że słyszy stłumione głosy organów na chórze i ponury śpiew „*De profundis*“.

Nagle ocuciło go czyjeś dotknięcie i pomimo nocy dojrzał nad sobą pochyloną głowę ludzką:

— Co to?... kto tu? — zawołał, zrywając się jak sprężyną podrzucony z posłania.

— To nikt, tylko ja — odezwał się głos Pietrka — pan tak jęczał głośno, więc przyszedłem zobaczyć czy panu nie gorzej?...

— Zapal świecę i daj mi wody, mam gorączkę. Na drugi dzień Filip zwał się z łóżka, jak cień błądy i wynędzniały i pomimo zakazu Szypowicza chciał się zabrać do pracy, ale w drżących palcach nie mógł już dłuta utrzymać.

Z nocnych majaczeń pozostała mu w pamięci twarz Mefista, przy której jego „Geniusz wieku“ wydawał mu się teraz maskarą bez wyrazu, chybioną najzupełniej.

— Kiedy ja to poprawię! — wzdychał z głębokim, beznadziejnym smutkiem i gorące czoło przykładał do zimnej szyby okna, a w duszy jakies przecucie mówiło mu: „chyba nigdy...“

XI.

Panny Klarcia i Resia nie mogły zrozumieć zmiany, jaka od czasu fatalnej rozmowy z prezesem zaszła w usposobieniu i postępowaniu ich matki. Nie poznawały jej wcale. Nie wtajemniczone nigdy w interessa majątkowe, pojęcia nie miały o stanie familijnych skarbów, które uważały za niewyczerpane.

Przypuszczały, że po ślubie Heleny z Pielskim rozpoczną się dla nich dopiero piękne dnie Aranjuetu i życie popłynie zdwojonym prądem po kaskadach przyjemności wymarzonych: a tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Matka Okulska pod jakimś błahym pozorem zniosła nudnawe już potrosze *jourfixy* u siebie, zaniechała wizyt z bardzo małemi wyjątkami, a nawet nie wspominała przed córkami o fakielniepospolitej wagi, jakim było zaproszenie od księżny na wspaniały raut, urządzany przez dostojną protektorkę na korzyść szwalni dla sierot szlacheckiego pochodzenia.

To było nie do pojęcia!...

Intrygował ich wielce niewytłomaczony ubytek przeslicznych pereł, które miały kiedyś stanowić ślubny podarunek dla Resi i świetnych kolczyków brylantowych, przeznaczonych dla Klarcii.

Byłyby się w oczy rozśmiały własnej rodzicielce, gdyby im była w szczerzej otwartości wyznała, że te klejnoty sama w największej tajemnicy wysłała do lombardu.

Trzy premiery przemienęły również bez udziału panien Okulskich w łoży pierwszego piętra, a o nowych kapeluszach sezonowych, pomimo najwyraźniejszego przymawiania się córek, tak uprzedzająca zwykle mama zdawała się wcale nie myśleć.

Przyczyna tego była bardzo jasna, tylko, że nie było jej komu wprost, otwarcie, bez ogródek wyjawić pannom, przyzwyczajonym do zbytków, a nie rozumiejącym znaczenia pieniędzy. W kassie Okulskich oddawna panowały już przerażające pustki, a co gorsza, kredyt wyczerpał się również do samego dna.

Nawet prezes, człowiek tak dystyngowany i uprzejmy, okazał się prawie brutalnym, odmawiając grzecznie, ale stanowczo marnej pożyczki o którą zdecydowała się prosić go w chwilowej potrzebie Okulska, w bileciku bardzo eleganckim, bardzo woniejącym i śliczną francuzczyzną napisanym.

Nadchodziła chwila, której się matka panien Klarcii i Resi jak sądu ostatecznego obawiała, chwila wyjawienia córkom całej prawdy.

Poprzedniego dnia były jeszcze w teatrze (za pieniądze pożyczone pocichu u Heleny), wróciły do domu wynajętym powozem, a na drugi dzień rano ze łzami w oczach, z rumieńcami wielkiego wstydu, jak do zbrodni, musiała im nieszczęśliwa matka przyznać się, że piękne pozory pokrywają strasznie brzydką rzeczywistość, jaką jest zupełna ruina majątkowa.

Jeżeli obie gracy nie zemdlały na wiadomość, iż kamienica ich ma być niebawem przez wierzycieli wystawiona na publiczną licytację, to tylko dlatego, że przed rozrzewnieniem i szpami porwało je okrutne oburzenie na główną administratorkę ich wspólnego majątku.

— Ślicznie mama gospodarowała! niema co mówić! — wybuchnęła z iskrzącymi od gniewu oczyma panna Resia.

— Jak można było doprowadzić do takiego skandalu! — wtórowała wyniosłe, ale nie mniej potępiająco starsza córka. — Jakżeż my się teraz światu na oczy pokażemy, z łaski mamy?

Okulska wobec swoich najdroższych dzieci stała potulna, spłakana, pokorna, jak winowajczyni przed sądem; zdawało jej się, że na prawdę popełniła względem nich jakieś wielkie przestępstwo i gotową była tłómaczyć się, prosząc o przebaczenie. Miłość macierzyńska wszelako nie śmiała zdobyć się na explikację, onieśmiona gradem wyrzutów, które z pięknych usteczek panny Klary i Resi sypały się z rosnącą gwałtownością, zakończoną *lamentoso* wielkim tercetem płaczu i migreny.

Położenie wszelako było bez wyjścia, a przyszłość jak zmora stała za progiem domu, który lada dzień trzeba było opuścić.

— Żeby ten Morelli z piekła nie wyjrzał! — za konkludowała na końcu najmędrza w rodzinie Resia — on wniósł pierwszy nieszczęście pod nasz dach.

— O tak! — z głębokim przejęciem, oblaną łzami jęknęła matka Heleny — od niego wszystko się zaczęło!

Panna Klara gorzko się uśmiechnęła, mówiąc z przekąsem:

— Tak, teraz lamentujecie!... a czyż to wina, jeśli nie mamy?... jak można było takie *monstrum* wpuszczać do domu!

— Szczęścia waszego zawsze pragnęłam — odważyła bronić się Okulska.

— Widać to, widać... Teraz niech mama sobie winę przypisze, jeżeli zostaniemy staremi pannami! — przerwały jej ze łzawą ironią, pełną wyrzutu obie córki, głosem pokrzywdzonych ofiar losu i niepraktyczności macierzyńskiej.

Państwo Pielscy w fatalnem położeniu znalazłszy się po ślubie, wpadli z dziwną zgodnością na jedną i tęsamą myśl „nadrabiania miną“; postanowili nie pokazywać światu prawdziwej twarzy, przedłużonej bardzo przykrym grymasem wzajemnego zawodu.

On czynił to ze względu na wuja, mającego swoje niebezpieczne anachronizmy w pojęciach honoru i moralności; ona, ze wstydu przed światem, a może przed sobą samą, nie chciała się przyznać do kary, jaką ją Nemezys dotknęła.

— No, i patrzcie — mówiono sobie, widząc państwa Zygmuntów, idących pod rękę w najczulszej komitywie — wyglądają bardzo szczęśliwi!...

W pierwszym roku małżeńskiego pożycia nie dziwiono się, że pani Helena pomizerniała i pobladła; zwykły to los młodych mężatek, które od razu rodzinnem szczęściem mają obdarzyć kochającego męża. Tłómaczono sobie, że małżonkowie w zaciszu domowym spędzają czas i dlatego nie udzielają się światu.

Kolledzy pana Zygmunta zauważyli tylko, że za często ogryza paznogie przy swoim biurku bankowego aplikanta i ziewa z wyrazem nietałonego znudzenia; dawny *charmant causeur* bywał teraz bez humoru i całemi godzinami nie odzywał się do nikogo.

Posadzano go o *spleen* ze zbytku... szczęścia, odebranego innemu.

O Filipie nigdy jednym wyrazem nie wspomiano w domu państwa Zygmuntów; unikano umyślnie rozmowy na temat dla obojga zanadto drażliwy. Pierwszy mąż przestał istnieć dla Heleny, odkąd go drugi zastąpił.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie spotkała go ani razu od chwili powtórnego swego małżeństwa. Filip sam unikał ulic, na których przypuszczalnie mógłby być zejść się oko w oko z Heleną. Nie zdawał sobie dokładnie sprawy, jakie wrażenie byłoby na nim spotkanie takie wywarło; zdawało mu się, że nie kocha już zupełnie kobiety, która go tak boleśnie zawiodła i upokorzyła. A jednak rany serca nawet po zabliznieniu otwierają się znowu, kiedy ich dotknięciem szorstka ręka losu, sprawiającego sobie tak często igraszkę z bólów ludzkich.

W kilka dni po odwiedzinach Dr. Szypowicza w pracowni Filip, osłabiony, zdenerwowany gorączką i bezsennością po nocach, wyszedł z domu w rozpaczliwym usposobieniu.

Nowe troski spadły na niego, jakby się go nie dosyć nieszczęście nadoświadczało.

Od pół roku zalegało komorne za *atelier*, którego artysta nie miał czem opłacić; przysyłano mu awizację i nakaz opuszczenia zajmowanego refektarza w przeciągu dni trzech.

Miał się zobaczyć bez dachu, na bruku, pozbawionym własnego kąta. W ostatnich czasach wyprzedał się prawie ze wszystkiego, żył z kredytu, którego mu nie odmawiała sklepikarka z przeciwka za pośrednictwem Pietrka; teraz i to się miało skończyć. Nędza stała już na progu. Złośliwe przytyki prasy z powodu gipsowych figur zbyt drażliwą naturę Filipa dotknęły bardziej, niż cała sprawa warta była; porozbijał formy i postanowił wyrzec się jedyne zarobku, jaki mu jeszcze pozostawał.

Z obstalunkiem nikt się nie zgłaszał do pracowni; zapomniano powoli, że istniał jaki Morelli, którego talent niegdyś tyle miał rozgłosu.

Zaczęły się te drobne, małe dolegliwości i kłopoty, które jak szpileczki kłuły bezustannie mózg, serce, ambycją i dumę artysty; im bardziej go los przygnębiał, tem więcej jakiejś zaciętości przybierało w jego charakterze.

Najokropniejszem wszelako dla Filipa było to przeświadczenie własne, że go ogarnia jakaś martwota, w której pracować nie może i siły traci, że napróżno szamocze się ze zwątpieniem, którego nikt i nic nie pomaga mu rozproszyć, żadna zachęta, żadna nadzieja. Unikał ludzi, a zdawało mu się zawsze, że to oni go unikają. Ostatni Szalej po rozmowie gwałtownej z przyjacielem opuścił go i od tygodnia już nie pokazywał się w pracowni.

Pietrek osowiał zupełnie, wygłodzony, smutny, patrzący z kąta na cierpienia swojego mistrza, wpadł również w stan jakiejś chorobliwej obojętności.

Prosta konieczność zaradzenia groźnemu losowi zmusiła Filipa do szukania środka pomocy; ale zwykła niezaradność niepraktycznej natury powiększała tylko rozpaczliwy nastrój artysty; wyszedł na ulicę bez wyraźnego celu, wiedział, że ma się postarać o pieniądze, o robotę, o zajęcie, ale gdzie, u kogo, w jaki sposób — pojęcia nie miał. Pójść prosić, skarżyć się, biedę swoją przed obcymi ludźmi odkrywać — nie miał ani odwagi, ani siły.

Z bladą, ponurą twarzą, w swoim zaniedbanym stroju, w wytartym surducie, leniwym krokiem włókł się od godziny po bruku i patrzył dokoła wzrokiem człowieka nieprzytomnego. Nagle drgnął, zachwiał się i stanął w miejscu, jak skamieniały; naprzeciw ujrzał idącą Helenę zwienszoną na ramieniu Pielskiego. Pierwszy-to raz

spotykał swą żonę przy boku obcego człowieka, który mu wszystkie prawa odebrał; pierwszy raz znowu mógł spojrzeć w tę piękną, marmurową twarz kobiety, która fatalnym była ideałem w jego życiu złamanem dziś, zwichniętem, wykołojonem zupełnie. Dziwna mieszanina uczuć bólu, gniewu, żalu, zakłopotania, wstydu i lęku zarazem zawrzała w jego sercu.

Spojrzał na Pielskiego i na siebie, i krew uderzyła mu do głowy; wyglądał przy nim, jak obdarty ostatni.

Instynktownie skoczył w bok i skrył się do bramy pobliskiej, ale oczyma śledził przechodzącą parę z jakimś wyteżeniem wszystkich zmysłów. Patrzał i skradał się za nimi w pewnej odległości; widok żony i szczęśliwego rywala bolał go, lecz pociągał zarazem. Miał uczucie tego pacjenta, któremu chirurg lancetem żywe ciało kraje, a który podczas tej bolesnej operacji ciekawie przygląda się własnej ranie, broczącej krwią coraz bardziej pod ostrzem noża.

Helena była bladą, lecz tę bladłość tłómaczył jej stan, zapowiadający bliską radość macierzyństwa; oparta na ramieniu Zygmunta, szła powoli i rozmawiała z nim czule, patrząc mu w oczy. Na skrócie ulicy zatrzymali dorożkę. Mąż podał jej rękę i podszadając ją na stopień, ostrzegał z troskliwością:

— Heluniu, tylko ostrożnie!..

Heluniu!.. imię to, wymówione ustami innego w tej chwili, jak żądło wpiło się teraz w serce biednego Filipa; zdawało mu się, że kobieta rzuciła na niego spojrzenie z doróżki i poznała go, że w tem spojrzeniu było coś, jak stal ostrego i zimnego. Jak zbrodzień, na gorącym uczynku złapany, zerwał się z miejsca i pędem prawie roztrzając ludzi, puścił się w kierunku przeciwnym, ku domowi swojemu. Zdyszany, wzburzony, z gorączką w oczach i na policzkach wypiekami pokrytych wpadł do pracowni. Szał jakiś ogarnął go; wszystkie uspięne jędze zbudziły się w jego duszy i gryźć ją zaczęły, szarpać, targać jej strzępy bezlitośnie.

Pietrek wystraszony patrzył na niego, jak na waryata, i słuchał urwanych słów ze drżeniem.

Nie widział nigdy jeszcze mistrza swego w takim rozdrażnieniu; instynktownie wybiegł z pracowni, aby sprowadzić Szaleja.

Z ciężkim łoskotem zatrzasnął Filip drzwi za chłopcem i zamknął na dwa spusty...

W godzinę później u okien pracowni Filipa Morellego cisnęła się gromadka ludzi zwabionych z ulicy płaczem i krzykiem Pietrka zawodzącego żałośnie.

Aby zajrzeć do wnętrza, trzeba było twarz przytulić do szyby i rękoma zasłonić od światła z boku.

Komuś przyszedł dobry pomysł wyciągnąć jedną z desek, zastępujących u dołu rozbite szybki a przez uczyniony otwór można było wyraźnie widzieć na środku pracowni trupa mężczyzny, leżącego twarzą ku ziemi w kałuży świeżej krwi, ze skronią roztrzaskaną dużym, kamieniarskim młotem, który wypadł mu z ręki po samobójczym zamachu.

— Rzeźbiarz się zabił!—podawano sobie wiadomość z ust do ust w rosnącej z każdą chwilą gromadzie ciekawych, zwabionych wieścią o sensacyjnym wypadku.

Czekano na komisarza policyjnego i na ślusarza, który miał drzwi otworzyć. Dwie kwestye zajmowały tłum na przemiany: samobójstwo i sposób dostania się do wnętrza pracowni.

— Jakżeż otworzą, kiedy klucz siedzi w zamku z drugiej strony?—debatowano nad tem z większym na pozór zajęciem, niż nad powodem rozpaczliwej śmierci człowieka, który tam w potoku własnej krwi zatopił gasnącą od tak dawna duszę.

Na uboczu, oparty o mur jednym ramieniem, chwiał się na nogach, stał pijany Szalej i odwrócony plecami do tłumu, płakał. Łzy spływa-

ły mu po twarzy i spadały na rękaw, z którego scierał je pilnie dłonią, mrużąc niezrozumiale:
— *Finita la comedia!.. finita la comedia!..*

XII.

W kilka lat po tym wypadku na wystawie sztuk pięknych dotłoczyć się było trudno do naturalnej wielkości „Geniusza wieku,” który, jako „pośmiertne dzieło” Morellego w zachwyty wprawiał publiczność i krytykę.

Nazwisko artysty, który tak tragiczną śmiercią zakończył smutny żywot, błyszczało otoczone świetną aureolą sławy i uznania; unoszono się nad pomysłem i techniką wykonania, ale nikomu nie było wiadomem, że ta rehabilitacja pamięci Filipa była zasługą młodziutkiego rzeźbiarza Piotra Wrzawy, który jako uczeń nieboszczyka według szkicu pozostałego po nim, wykonał dzieło w naturalnych rozmiarach, i wystawił je pod nazwiskiem swojego ukochanego mistrza; zmieniający o tyle pierwotny pomysł, że zamiast człowieka nadłoni Mefista, położył tylko serce ludzkie.

W ten sposób Pietrek spłacił dług wdzięczności zmarłemu dobroczyńcy i opiekunowi, pierwsze laury należne sobie, składając na jego zapomnianej mogile.

K O N I E C.

ZEGAR NA WIEŻY BOŻEGO NARODZENIA.

Podanie szląskie.

(Dokończenie).

Rok upłynął i przyszła zaów noc wigilijna; świeciło się we wszystkich chatkach Starych i Nowych Czarnoborów, świeciło się i w wązkich, wysokich oknach starego zameczka, ale czuwano tu dziś nie dla świętowania, nie dla kolendowania wesolego. Gdy noc zapadła urodziło się tu dzieciątko, syn, ale zamykały się teraz oczy matki. Młoda pani Czarnoborska umierała i mąż wiedział, że tak jest; załamał też ręce, zdejmowała go jakaś rozpacz dzika, ale gdy zegar zaczął bić na wieży, gdy wydzwonił powoli dźwięków dwa nacie, chora otworzyła oczy. — Mężu, ozwał się szept cichutki — idź, naciągnij wagi. Ja tu przez ten czas nie umrę, będę czekać na ciebie, ale ty tam idź, aby zegar nie stanął. O! nie powinien, nie powinien on stanąć, póki Czarnoborscy są Czarnoborskimi! Idź też mężu, idź... wstąp na drabinę z chłopcem, który-by ci świecił pochodnią i naciągnij łańcuszki...

On był jej zawsze posłuszny i uczynił, co każała. Gdy do niej wrócił, ona już z wysiłkiem ostatnim prosiła go, aby nie zapominał o zegarze, gdy jej tu nie będzie. — To jak dusza naszego rodu — mówiła ledwo dosłyszczanym szeptem. — Niech on bije i Czarnoborscy niech istnieją, aby lud biedny nie został bez przewodnika. Coraz-to go podmywa, zalewa powódź obca, niech nie będzie jej wydany bez pomocy, bez opieki...

Jeszcze tak chwilę mówiła — coraz, coraz ciszej, aż usta tak niedawno świeże jak pąk róży, zamilkły na zawsze. Nie domówiła słów ostatnich prosząc ojca za synkiem, którego mu zostawiała, bo tchu brakło — wargi zbieleły i zamknęły się na zawsze. Powstał jęk, płacz, lament niewieści, ale mąż w którym dusza musiała też płakać, łkać konwulsyjnie, którego serce pękało i rwało się na kawały, nakazał milczenie ostro, surowo. Czy myślał, że ten drogi trup słyszy i męczy się?.. Nakazał też, aby dziecko wzięto precz, wyniesiono gdzieś, gdzieś... Syna, który zabił matkę, ojciec zniechęcił w pierwszej godzinie jego istnienia...

Trzeba mu też było mleka mamki, i wzięto go na wieś. Między kobietami, które zbiegły się do dworu, była jedna ze Starych Czarnoborów, która mogła mu je dać. Odsadzi od piersi dziecko własne, będzie, je poić mlekiem kozy, a sierotę karmić będzie i tak się stało. Nazajutrz rano, gdy dzwony dzwoniły za matkę, ksiądz smutno i pośpiesznie ochrzcił nowonarodzone niemowlę. — W imię Ojca i Syna i Ducha Św., chrzczę cię — mówił kapłan, ale zatrzymał się, nie wiedząc, jakie ma być imię? Do ojca nie śmiał nikt iść i pytać. Zamknął się z trupem i nikt nie odważył się do niego zapukać, ale że dziecko urodziło się słabiuchne, strach było zwłoczyć i ktoś wyrzekł, może mimowoli, imię ojcowskie; ochrzczono też syna tem imieniem, i był znowu na świecie Staś sierota.

A było-to sierotwo bardzo ciężkie, bo ojciec nie mógł prawie znieść widoku dziecka swego. Nazajutrz rano kobieta, która miała je karmić, zanosła biedactwo do siebie, do Starych Czarnoborów, a że w drugie święto Bożego Narodzenia w Św. Szczepan, spadł śnieg ogromny i drogę przez wąwozy uczynił prawie niepodobną do przebycia, ojciec przeszło dwa tygodnie nie widział syna. Po pogrzebie, gdy w zmarłą ziemię złożono trumnę, gdy ją przysypano ziemią zmarłą, p. Stanisław, który patrzył na to oczyma człowieka przerażonego jakąś niepojętą dla niego rzeczą, porwał się prosto ze cmentarza tam iść, jak gdyby mu to nakazał głos z owej trumny, która w zimną ziemię poszła, ale ludzie mu nie dali tego uczynić. Stary rządca, choć go wcale nie kochał, nie lubił nawet, bronił mu tego, jak mógł, a cały lud wiejski czepił go się upornie i nie dał. — A panie nasz! a dobrodzieju, opiekunie, nie puścimy cię... A cóżby było tu z nami bez ciebie... co? W Walkowym Wąwozie śnieg na chłopca, nie puścimy cię.

Zle się stało, że nie puścili, bo potem już pójść czy zapomniał, czy nie chciał. Gdy śniegi stajały, mamka Bartłomiejowa, przyniosła mu dziecko, ale prawie spojrzeć na nie się wzdrzygał. Mamka chciała mu uwinięte w poduszki nieboże na rękach położyć, ale on, spojrzawszy raz na twarzyczkę, cofnął się prędko. — Weźcie... weźcie je! zawołał surowo — nie mogę patrzeć.

I pozostało tak nadługo; ojciec nie kochał syna; widocznie nie mógł mu darować śmierci matki, której stratę przypominał mu widokiem swoim, jakkolwiek nie zdawał się być do niej podobnym. Później to przyszło, podobieństwo nawet wielkie, zwłaszcza, gdy mu włosy, zrazu tak złotawo-blond, jak u ojca, zaczęły ciemnieć na takie, jak miała matka, i tak też związał się w pierścienie, jak to było u niej. I syn nie okazywał wielkiej miłości do ojca; gdy był malutki bał go się, a potem chronił się prawie przed nim, może dla tego, że często spotykał się ze słowem jego surowem, ze spojrzeniem niecierpliwem.

A przytem we trzy lata potem ożenił się — z Miną Bolstein. Broniła mu się zrazu ta nieboga, może mówiła mu jak owego dnia pierwszego ich widzenia się drzewom ogrodu: — Ja już Niemka, już ja Niemka, Niemka!.. jednak nie ubroniła się, i poszła. Dla dziecka sieroty chciała być dobrą, chciała nawet je pieścić, ale chłopczyk jej się bał, nie rozumiał jej mowy i uciekał od niej, krył się po kątach, aż ją zwolna odstręczył od siebie, przytem i ona miała też niedługo dzieciątko własne, syna także, który dostał czysto niemieckie nazwisko Kurta. Było to już imię rodzinne Bolsteinów, nosił je dziad tego drugiego z kolei potomka Czarnoborskich, który przecież szczęśliwiej przyszedł na świat, bo z jego urodzeniem nie łączyła się śmierć, i chrzciny nie odbywały się, gdy dzwony dzwoniły za dusze zmarłe. Potem przybył jeszcze jeden Czarnoborski: Henryk, zwany przez matkę; Heinz. Staś miał lat siedm, gdy się ten drugi jego przyrodni brat rodził, a że był dziki i stara ciotka wmówiła w siostrzenicę, że może dziecku zrobić co złego, broniono mu prawie przystępu do przyrodnych braci, którzy, może nim straszni przez ową ciotkę, bali go się i uciekali przed nim. Obaj byli niezmiernie podobni do matki i tak jak ona, mieli głowy białe, gdy zaczęli chodzić, krzywiły im się nogi, a wychowanie w betach,

w pierzynch, nie krzepiło ich. Matka kochała przecież tych synków swoich gorąco, namiętnie i cierpiała ciężko nad tem ich podobieństwem do niej. Na nieszczęście, którego przeznaczenie chciało zdrowie, jedrność, uroda Stasia tak dręczyła jej serce zazdrością, jak dręczyła je niegdyś skryta zawiść dla matki sieroty. Choć prosiła niegdyś Boga, aby coś oderwało od niej dzisiajszego jej męża, jednak nie mogła bez goryczy pomyśleć o tej, która to sprawiła. Choć wrócił do niej z czasem — to nie! Potrzeba pieniędzy przygniotła go, ale dla tamtej pieniędzy się rzekł: będę z nią przenosił nad jej dostatki...

I teraz oto musiała chować w domu swoim dziecko tamtej... musiała patrzeć jak jej synki biedne, z dużymi głowami na krzywych nogach, wyglądają przy jej synu!

A był to jej dom już niezaprzeczenie, bo nie żona do męża, ale mąż do żony się wznosił. W Bolsteinie było tak zasobnie i dostatnio, że mąż musiałby być wiele wydać, aby stary swój zamczek podobnie dla niej urządzić. Tem się przed nim zastawiła, żądając, aby on do niej, jak na pokomorne przyszedł. Wspomnienia „tamtej“ byłyby ją truiły, gryzły; on zaś przystał, bo musiałby od niej pieniądze brać na wygody, których żądała.

I synka swego musiał też ze sobą tu zabrać. Bolało go to — bolało dziwnie! Nie kochał, nie cierpiał go prawie, przecież coś mu brało serce jakgdyby w kleszcze, gdy go tu za sobą wiozł.

Ludzie z Czarnoborów przychodzili często — do panicza. Przynosili dziecku zabawki różne i podarki: pierwsze poziomki, złapane w owsie zajęczki, jaja kraszanki. Ojciec silnie tego nie lubił, widział w tem płatanie się jakieś natrętne koło sieroty, ale coś, jak pamięć na utraconą matkę dziecka, nie dała mu huknąć na tych ludzi i odpędzić ich. W Bolsteinie wszyscy mówili ponemiecku, i Staś także się już języka tego nauczył, bo był bardzo pojętny, ale do ojca zawsze popolsku się odzywał, co sprawiało, że i on musiał tak do niego mówić; a było aż dziwną ta odmienność zawsze, zawsze zachowywana, i p. Stanisław gniewnie to odczuwał. Widział w tem upór, który mu w sumieniu jakgdyby gwoździe wbijał, podejrzewał (niesłusznie) podmowę czyjaś, nieraz też brwi groźnie marszczył, chcąc ostro na malca krzyknąć, dla czego to czyni? ale coś mu usta wiązało. Gdy chłopię na niego spojrzęło szafirowymi oczyma, widział jakgdyby matkę jego i... nie mógł.

Było między ojcem a dzieckiem jakgdyby walka jakaś miłości i nienawiści, bo były chwile, że tę sierotę swoją p. Stanisław czasami kochał na miętnie, a znów syn, który się ojca tak dziwnie trzymał, jakgdyby przebywał tu z nim w jakimś obozie nieprzyjacielskim, gdzie oni dwaj obcymi byli, miał też czasem na niego takie samo jak on brwi zmarszczenie, u dziecka szczegółne. P. Stanisław myślał, jak naukę syna urządzić, gdy naraz zobaczył u niego elementarz polski. Syn mu go przyniósł, żądając aby mu pomógł jakąś zgłoskę złożyć, a ostro spytany z kąd go wziął? usłyszał odpowiedź, że książeczka ta z obrazkami, to prezent, który mu przynieśli z odpustu „ludzie“. Tak nazywał włościan z Czarnoborów i ojciec zmarszczył się, słysząc odpowiedź, ale zmarszczył się i syn. — Tato... powiedz mi, jak to trzeba złożyć... rzekł a ojciec jakoby mimowoli pochylił się i przesyllabizował synowi, co chciał.

Staś prawie codziennie przychodził tak do ojca z książką i zapytaniem, a on uczył się nagle za bobonnym. — Czy to czyni dusza matki? — pytał się siebie prawie przelękniony przed tem dzieckiem i tą książeczną biedną z jakimś trochę kulawym Adamem i Ewą w rajcu, z jakimś aniołem o krzywej twarzy, który dobre dziecko do nieba niesie.

Nagle stał się dramat rodzinny. Staś wybił swego przyrodniego brata, i wcale nie lekko. Macocha uderzyła w krzyk, w żale; winowajca, wezwany przez ojca, stawił się prawie hardo, bez żadnego uznania winy swojej. Kurt czy wybrał z jakiegoś nizko umieszczonego gniazda makolągwy, młode pisklą, czy mu je ogrodniczek który dał, dość, że je posiadał, a Staś mu je wydarł i w dodatku prętem wybił, lecz przed trybunałem ojcowskim śmiało stanął: — Nie dałem mu

żywcem skubać polskiego ptaka... rzekł — odebrałem go i puściłem.

— Polskiego ptaka! krzyknął ojciec — głupi jesteś!..

— Tu ptaki są polskie — odparł malec niezmieszany. Wybiłem go, że je chciał męczyć.

— Głupi jesteś! powtórzył ojciec uniesiony, ale syn potrząsnął głową i podniósł na niego oczy szafirowe.

— Wiem, że tak jest — odparł. Słucham, jak śpiewają i wiem...

— Nie dam ich męczyć Kurtowi — dodał — nie jego są...

— A czy twoje?..

— Tak, moje...

Mars syna spotkał się z marsem ojca, który jednak nie dał żonie zamknąć Stasia za karę do ciemnej komórki. Nazajutrz rano odwiózł go do Wiednia na naukę. Chciał go pomieścić gdzieś bliżej, ale powiedział sobie, że trzeba raz skończyć z głupstwami, które tu przez ludzi z Czarnoborów wbijają się w głowę dziecka.

Sześć lat nie było Stasia w domu; tylko ojciec kilka razy do niego pojechał, ale na wakacje brać go nie chciał od owego sporu z żoną, która przytem raz pierwszy powiedziała mu gorzko, co czuła, że nie kocha on ani jej, ani dzieci swych młodszych — że ożenił się z nią bez miłości!

Do Czarnoborów przywozić go też nie chciał, przez dumę inną i trzymał go lat tyle samotnego, w oddali, tęskniąc do niego, kochając go, nienawidząc go — nie nawidząc tego, co było kością obrazu między niemi, uporem, jak wciąż mniemał poddawianym. Tego i działającej tu idei, którą też nazywał głupstwem, zaczął — może dla cierpkości napełniającej mu serce — nienawidzić co dzień silniej, i codziennie silniej stawając się ostrym, surowym, przykrym dla wszystkich naokoło. Synowie młodzi bali go się jak ognia, a on za to tchórzowstwo gardził niemi, patrzył na nich jak na małych brzydkich psiaków, żona zaś to widząc, zgadując to, czuła się codziennie nieszczęśliwszą. Zzółkła, jak cytryna.

Po sześciu latach musiał jednak syn do ojca wrócić, bo szkołę, do której był oddany, ukończył. Miał rok szesnasty; ojciec powiedział sobie, że dalej będzie go kierował taką drogą, jaką sam szedł, ale przy powitaniu nic nie mówił o tem. Gdy Staś przyjechał, przyjął go chłodno, aby się nie zdradzić, że pierś podnosiła mu się wzruszeniem nieopisanem. Spojrzył na niego, potem na dwóch młodszych, i skrzywił mu usta uśmiech szyderyczy. Pięknem potomstwem była druga linia Czarnoborskich!..

Syn poprosił ojca, aby mu pozwolił mieszkać w Czarnoborach, a jego to ukłuło srodze. — Nie czuję dla mnie nic... powiedział sobie z goryczą i prawie oskarżył oto tego ducha, który może nie dawał synowi ułożyć się sercem i myślami po woli ojcowskiej.

Pozwolił, ale uczył od tego czasu do ludzi z Czarnoborów nienawiść głuchą, złączoną z zazdrością jakąś dziwną. Oni go tam obstarpią, oni go tam będą hołubić, ceckać: — A panicz nasz... nasz panicz jedyny!.. I robak żalu, czasem grzyzoty, czasem złości niewytłomaczonej zaczął toczyć mu serce, jak czerw drzewo; zabrał się nagle do gospodarstwa zacięcie, to jest z wrzeniem głuchem burzącego się w nim gniewu. Za jeździł konie, objeżdżając pola, lasy, patrząc w koło argusowemi oczyma, jakgdyby chciał schwycić kogoś na złym jakimś nazynku, który dałby mu możność wybuchać nazewnątr, i na nieszczęście sposobność nadarzyła się potemu. Złapał raz w szkodzie, to jest w koniczynie swojej, parę wołów gospodarza z Bolestowa. Koniczyna kwitnęła właśnie, zapach jej musiał mieć taką moc przynęcającą, jak naprzykład przypieczona słoninka, na którą biedne myszki łapią się w pułapki i woły przebyły bezprawnie między graniczną — poszły uctować na pańskim polu i zostały nagle wzięte za to do nie woli.

— Złodzieje wy wszyscy!.. krzyknął głos gromki na wieśniaka, chylącego się z przeproszeniem za szkodę i z prośbą o odpuszczenie winy. Czas był roboczy; woły te zwoziły z pola snopki żętego właśnie żyta, a zbierało się na deszcz i

nie krótki, bo go dawno nie było; zmokłe zboże mogło porość i biedny gazda prosił bardzo, bo w górach nie rodzi się zanadto, a zima długa, przedwzrostek może być głodem!..

Gazda jeszcze raz zgął się przed panem: niech ludzie ocenią szkodę, on zapłaci... On na cudze nie dybie, lecz zwierz głupi nic nie wie, co moje a twoje... on przecież zapłaci...

— Precz! zawołał p. Stanisław. — Syn nie był u niego dwa dni, żona mu wymawiała, że był ostrym dla Kurta więc krzyknął na proszącego: — Precz!..

Kazał mu przyjść jutro o te czasy, ale biedny gazda nie ruszył się z miejsca i podniósł na pana oczy żalose. Para wołów — to jego majątek! Niech jeden zdechnie z głodu, a on stanie się nędzarzem, bo nie prędko zbierze grosz na kupienie drugiego. — Ach! panie... westchnął — wołałbym ja sam karę odcierpieć...

— Pościć w miejsce wołu — zaśmiał się pogardliwie p. Stanisław. — Zgoda... przystaje.

Przypomniał sobie za wojskowych czasów widzianą u Słowieńców karę, którą wymierzał na lud biedny ostry pan niemiecki. Zalewał on na czas jakiś ogień na domowym ognisku winowajcy i biedactwo, żyjące w chacie było pozbawione gotowanej strawy tak długo, jak długo naznaczonym było to pokutowanie, bo dym wznoszący się z komina, byłby zdradził przestępstwo. P. Stanisław był dziś rozdrażniony i pełen goryczy. Próż tęsknoty za starszym synem miał dziś z żoną przykre przejście o drugiego i jakąś piekielną złość podsunęła mu dziś pamięć owego barbarzyńskiego znęcania się nad biedą ludzką. Wół został wypuszczony, lecz za gazdą, który go prowadził do domu na powroście o rogi zaczepionem poszedł pan.

Daleko ode wsi, pod lasem za łąkami, w pustem, mokradłami otoczonym miejscu stała samotnie mała chałupina i tam-to ogień miał zagasnąć na dobę całą. Uparta febra męczyła tu ludzi, gazdina, szczupłą, wynędzniałą kobietą, karmiła dziecko i gdy musiała podać panu szkopek wody do zalania ognia, przy którym gotowała się uboga wieczerza jej dzieci i męża, zapłakała. — Niech aby dogotują się ziemniaki... prosiła łkając, i schyliła się do nóg pańskich, gdy nagle wszedł do chaty Staś.

Jechał konno do ojca, jechał zwolna, patrząc i marząc; ojczyzna przyroda podnosiła mu pierś tęsknotą miłosną, gdy ujrzał zdaleka ojca wchodzącego do chaty na gliniankach. — A... pomyślał — może tam kto chory, kto umiera i ojciec idzie ratować, żegnać...

Popędził konia, bo ogarnęło go wzruszenie żywe. Pragnął ponieść do ust rękę tego ojca, który jak brat z bratem szedł obok pochylonego smutnie gazdy i wchodził pod dach jego niskiej chaty, lecz cóż uczył, gdy i on tam wszedł?

Schwycił rękę ojcowską, ale po to tylko aby ją zatrzymać w czynie nielitośnym. — Ojcie! wołał — ty nie wiesz co czynisz! Świętą iskrę Znicza, iskrę życia i ciepła zalewali Niemcy na ogniskach ludów słowiańskich, ale ty tego nie zrobisz!..

Prosił, błagał. Twarz mu płonęła, w oczach zbierały się łzy, bo był chłopcem jeszcze i nie umiał ukryć w piersi cierpienia, ale to właśnie co mówił, i że to mówił on, namiętnie wzburzyło ojca. Wydarł mu rękę i z przekleństwem niemieckiem na ustach trysnął strumieniem wody na ogień.

Zaszczęło — zaskwierczało coś w popiele, który buchnął do góry chmurą pyłu gdy razem wznosił się z zalanych głowni czarny, gryzący dym. Uchodził to tak Znicz — słowiański bóg iskry świętej!..

Staś skoczył do drzwi, skoczył i uciekł od ojca. Nawet konia nie wziął, bo koń ten był ojcowski. Uciekał nie drogą, ale na przełaj przez łąki, pola — do Czarnoborów, w góry, w lasy!..

I nie wrócił już więcej, już go więcej nie oglądł ty oczy ojcowskie. Ludzie mówili, że przebywał niedaleko, w Starych Czarnoborach, jednak nie wrócił — nie wrócił do ojcowskiego domu, do pocałunku ręki ojcowskiej, której też nie dotknęły już usta żadne, bo dla młodszych synów stał się teraz ten człowiek, któremu serce jadła grzyzota, tyra-

nem dzikim i srogim. Zaczął ich naraz mustrować, hartować, prostować krzywe ich nogi i szydził z nich, urągał im, gardził nimi w oczy, aż murowany dwór w Bolsteinie stał się piekłem, bo matka występowała w obronie dzieci! Raz przecież przyszło tam do sceny strasznej: ojciec wyzwał własnych swych synów od podłych szczeniut nie-mieckich i kazał sobie natychmiast okulbaczyć konia, którego ściągnął dziko uzdeczką i popędził w stronę Czarnoborów, a ludzie szepotali między sobą, że już ztamtąd nie wróci.

I nie wrócił. Już za lasem, już na czarnoborskim gruncie, koń się rozbiegał i ponosząc go, przeleciał z nim ulicę wsi, jakgdyby był szatanem wcielonym, wpadł na dziedzińiec dworski, aby rzucić jeźdźca przed stajniami.

Podniesiono go, zaprowadzono do pustego zamczku. Złamanego nic nie miał i tylko krew rzucała mu się gwałtownie ustami; że jednak zakazał, aby nie dano znać o wypadku żonie, ułożono samotnego na zasłanem naprędcie łóżku. Baby wiejskie naznosiły mu poduszki i kilimków na okrycie i nie wzdragał się ich przyjąć.

Już nie wstał z tej pościeli. Umarł w nocy, a raczej nad ranem, gdy świtało, a czy nikt z blizkich mu istot nie był przy nim, nie przyjął ostatniego jego tchnienia—róźnie o tem mówiono. Chodził po okolicy szepł, że Staś znalazł się w nocy przy ojcu, że otrzymał przebaczenie i błogosławieństwo i był przytomnym przy spisaniu jego ostatniej woli, którą na drugi dzień znalaziono na stole, opieczętowaną herbową pieczęcią Czarnoborskich. Dość znaczną gotówkę, którą posiadał, oddawał Czarnoborski na dział synów młodszych. Nowe i Stare Czarnobory dostawały się starszemu, a kuratorami tego spadku w niebytności dziedzica uczynił, umierający gromady także wsi.

Że zaginiony jednak żył, że był gdzieś blisko, dowiodło to ludziom, że w noc wigilijną zegar na wieży bił i bije dotąd.

Zameczek jest już ruiną i tylko wieżyczką z zegarem—zwana w okolicy Wieżą Bożego Narodzenia, dzwiga się dotąd i ród Czarnoborskich dotąd też istnieć musi, bo wyroczny on zegar nie stanął. O każdej nocy wigilijny lud wsi okolicznych, i biedny lud z dolnego już podgórze nasłuchuje tych dźwięków, i gdy je usłyszy, mówi sobie radośnie: — Czarnoborscy jeszcze są... nie wymarli...

Wpłynęli w lud, wnosząc tam ze sobą wszystkie stare tradycje ukochań swych najdroższych, które są odkupieniem tych rodów ciężko grzesznych: płochych, marnotrawnych, nieumiejących utrzymać się przy gruncie starym i których jedynym win złagodzeniem jest to, co z ust Chrystusowych dały rozgrzeszenie Magdalenie grzeszniczy — iż wiele kochali.

Marya Ilnicka.

Ostatnie uczczenie szlachetnej kobiety.

W łonie ludzi i narodów posiadających prawdziwą siłę żywotną mieści się zawsze iskra uczuć gorących, złączona z wierną pamięcią zasługi i cześć dla cnoty. Pięknym rysem w moralnej historii dzisiejszych Węgier jest wspaniała pogrzech Róży Jokay'owej, z domu Laborfalvi, tragiczki wyższego natchaenia a żony Maurycyego Jokay'a, ukochanego przez publiczność

swoje pisarza. Kondukt pogrzebowy mieścił w sobie reprezentacją rządu, z prezydentem rady ministrów, Tiszą, na czele; posłowie, deputacya uniwersytetu peszteńskiego, deputacya Stowarzyszenia Litteerów—deputacye miast, cechów, korporacyi rozmaitych, uczyniły jakimś aktem uroczystym, narodowymten pogrzech kobiety żyjącej już przeszło lat dwadzieścia, bo od 1863 roku cichem życiem rodzinnem.

Umarła na wsi, ale ciało zostało przewiezione do Pesztu; otwarta się na jego przyjęcie wielka sala publicznego gmachu: nowego i pysznego Teatru Narodowego, zkąd trumna została wzięta nie na wóz żałobny, ale na barki ludzkie. Abrany już przeszło lat dwadzieścia, bo od 1863 roku cichem życiem rodzinnem. W hymnie gorącego zapалу uwielbił cnotę kobiety i geniusz artystki. Ruszono przez ulice zesłane zielenią, aż zatrzymano się przed miejscem pierwszej, więc dawnej już, lecz przez wdzięczność ogółu nie zapomnianej pracy nieboszczki: przed Teatrem Ludowym, który niegdyś był jedyną stałą sceną węgierską i na której Róza Laborfalvi rozwinęła swój znakomity talent aktorki tragicznej. Tu była przemowa: Lakaczy, pierwszy dziś w Peszcie artysta dramatyczny, zęgnął „kobietę uczuć wzniosłych, życia jak iza czystego, muzę natchnionego pisarza—artystkę, która obok najwyższej miłości sztuki, nie ujęła nic miłości domowego ogniska i pojęciom szlachetnego obowiązku cnot niewieściach“.

Wiemy jak Jokay zabrał z nią raz pierwszy znajomość osobistą. Młody entuzjasta postąpił prawie szalenie, w nocy zapukał do drzwi młodej kobiety i na klęczkach błagał, aby wzięła udział w czynie, urodzonym z miłości i dumy narodowej. Przez trzy dni artystka nauczyła się kilkaaktowego dramatu, który Jokay napisał, jako odpowiedź tym, co gardzili ubogą sztuką ojczystą i to był węzeł pierwszy, który ich złączył. Działo się to w 1846 roku: on miał niespełna lat dwadzieścia dwa, ona siedmnaście i dłonie uściśniły się gorąco, czy przecież i żarzewie miłości nie zostało rzuconem w serca? We dwa lata potem, d. 15 Marca 1848 r., Jokay przemawiał ze sceny teatralnej do liczego zgromadzenia i gdy skończył, z po za kulis wystąpiła Róza, aby mu przypiąć do piersi gałązkę laurową wraz z kwiatem nieśmiertelnika, i wtedy-to oczy zbiegłszy się ze sobą powiedziały, że to dwoje ludzi chce należeć do siebie przez miłość aż do śmierci. Wkrótce potem nastąpił ślub.

Jokay był wtedy redaktorem Rządowego dziennika, gdy przecież przyszła reakcja i austriackie władze zajęły Peszt, on uchodzić musiał z niego. Nie chciał przecież, aby ukochana kobiet dzielila z nim niepewne losy tułacza, ona przecież chciała inaczej, chciała je właśnie dzielić. Tragiczka przyszła też wtedy prawdziwie tragiczne chwile — chwile szekspirowskich kobiet, zawsze czysta i wierna jak Imogena. Opuściła ona Peszt wśród największych niebezpieczeństw, w tajemnicy — przebywała kraj wzburzony, drogi pełne wojska i rozbitków. Przerazenie i groza panowała na okół, a ona prze-darła się przez to wszystko, zapuściła się dalej w dzikie lasy, aż odszukała męża i połączyła się z nim, aby znosić razem twarde próby życia, biedę a nieraz nędzę prawie.

Gdy nastąpił pokój z przygniatającą swą ciszą i ścieśnioną działalnością, gdy jak wody wracające do swego łożyska, opadły fale spiętrzonych uczuć, Jokay znalazł przed sobą tylko już zawód literacki: jał się więc pióra, stał się powieściopisarzem, przeważnie historycznym, i zyskał na tem polu prócz sławy europejskiej, miłość swego ogółu. I ona postąpiła podobnie; weszła napowrót do teatru, i pozostała tam długo, bo do 1863 r.

nie bez wyższej dla społeczeństwa swego zasługi. Lakaczy we wdzięcznem przy jej marach wypowiedzianem wspomnieniu jej usług dla społeczeństwa i sztuki, przyznał jej tę wielką obywatelską zasługę, że broniła sztuki teatralnej wyższego stylu, że jej szlachetne i szerokie na tę sztukę poglądy nie dały jej nigdy uleść prądowi poniznego do niskich namiętności dramatu. Ona to—według Lakaczy'ego, nie wpuściła nigdy na scenę peszteńską „Dmy kameliowej“.

I ona dała teatrowi węgierskiemu przez zaszczerpiecie dobrej tradycyi szlachetne podniesienie zawodu artystki dramatycznej, co sprawia, że węgierska aktorka nie nosi nigdy dwóch nazwisk: jednego na użytek scenicznego istnienia, któreby było względem drugiego maską. Jokay nie lękał się ani na chwilę, aby kobieta, którą wybrał sobie na towarzyszkę życia, nie umiała nosić z godnością jego rodowego miana i Róza Laborfalvi stała się natychmiast od godziny ślubu tak za sceną, jak na scenie Różą Jokay'ową.

Raz tylko jeden po ustąpieniu z teatru ukazała się znowu na scenie, a było to w roku zeszyłym, gdy obchodzono jubileusz jej lat pięćdziesięciu. W nowym już, pysznym teatrze, z którym ani-by się mógł równać ten dawny, na którym walczyła o godność sztuki narodowej, ukazała się w tragedyi Szekspira „Koryolani“. Odtworzyła wspaniałą postać Wolunni i ukazała publiczności swojej szczytny wzór matki obywatelki; a gdy w scenie drugiej trzeciego aktu mówiła do syna: „Odwaga, którą się pysznisz, moją jest, boś ją z mlekiem mem wyssał“... cały teatr trząsł się od oklasków.

Do grobu odprowadziły ją też tłumy wielotysięczne, żałobny jej orszak postępował drogą, która była usłana zielonością jakoby gałązkami palmowemi i uczczono tak nie samą siłę jej talentu, jej sztukmistrzowstwa: uczczono wzniosłość uczuć obywatelki, czystość kobiety—zacność pięknego ducha i szlachetnego typu człowieczeństwa.

Sztuka ma niewątpliwe prawo utrzymać to określenie i rodowód swój starożytny, że jest posłanką Bogów; ale sztuka szlachetnej prawdy uczciwego, wzniosłe i bez skazy pędzonego żywota, ma i mieć musi — po wiek wieków mieć będzie, wyższość nad najszlachetniejszą sztuki fikcyjną. To jest zarys i forma dla ideału, a tamto żywe ideału wcielenie.

M. I.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 5-ty i 6-ty powieści pod tyt.: *Ostatni Batory*, przez Mikołaja Josika.

TREŚĆ. Nowy rok, przez M. Ilnicką. — Wacław Szymanowski, Życiorys, przez St. Krzemińskiego. — Gasnąca dusza, powieść, (dokończenie), przez M. Gawalewicza. — Zegar na wieży kościoła Bożego Narodzenia, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Ostatnie uczczenie szlachetnej kobiety, przez M. I.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty i 6-ty powieści pod tytułem: *Ostatni Batory*, przez Mikołaja Josika. — 29 wzorów ubioró wrobót wraz z opisem. *Sekreta gospodarki*. — *Dyspozycyą stołu*.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава 17 Декабря 1886 года.

